

Gdy podniosłem się z podłogi i rozejrzałem dookoła, dotarło do mnie, że niewątpliwie trafiłem do pokoju pani Peregrine. Wyglądał jak sala w zamku Śpiącej Królowy. Ze świec w kinkietach zwisały pajęczyny, na toaletce z lustrem ustawiono kryształowe buteleczki, a w kącie znajdowało się olbrzymie dębowe łóże. Wyobraziłem sobie panią Peregrine, gdy była tu po raz ostatni. Na dźwięk wyjących syren zerwała się z łóżka i zgromadziła zaspane dzieci, które po drodze na dół pospiesznie chwytaly płaszczki.

„Balyście się?” — spytałem w myślach. „Słyszałyście nadlatujące samoloty?”

Poczułem się dość dziwnie, bo przyszło mi do głowy, że dzieci nadal tu są i — ukryte za ścianami i zakonserwowane jak chłopiec z trzęsawiska — spoglądają na mnie przez szczeliny i dziury po sękach.

Przeszedłem do pokoju obok, rozjaśnionego bladą poświatą zza okna. Płaty jasnoniebieskiej tapety zwisały nad dwoma łóżeczkami, nadal zasłanymi zakurzoną pościelą. Przeczucie podpowiadało mi, że znalazłem się w sypialni mojego dziadka.

„Dlaczego mnie tutaj wysłałeś? Co takiego pragnąłeś mi pokazać?”

Pod jednym z łóżek zauważyłem jakiś przedmiot i ukląknąłem, żeby przyjrzeć się temu bliżej. Była to stara walizka.

„Należała do ciebie? Czy właśnie ją wziąłeś do pociągu, kiedy po raz ostatni widziałeś swoich rodziców? Kiedy umykało ci twoje pierwsze życie?”

Wysunąłem walizkę i podlubalem przy skórzanych paskach. Otworzyłem ją bez trudu, ale okazała się pusta, jeśli nie liczyć rodziny martwych żuków.

Ja również czułem pustkę i było mi dziwnie ciężko, zupełnie jakby Ziemia obracała się zbyt prędko, zwiększając siłę grawitacji, która przyciągała mnie do podłogi. Nagle poczułem, że jestem najzwyczajniej wyczerpany, i usiadłem na łóżku, być może należącym dawniej do dziadka. Sam nie wiem

czemu, ale wyciągnąłem się na brudnej pościeli i wbilem wzrok w sufit.

„O czym rozmyślałeś, leżąc tutaj nocą? Czy i ciebie nawiedzały koszmary?”

Nagle wybuchnąłem płaczem.

„Czy wiedziałeś, że twoi rodzice umierają? Czuleś, jak odchodzą?”

Plakałem coraz rozpaczliwiej. Nie chciałem, ale nic nie mogłem na to poradzić.

Wbrew sobie zacząłem myśleć o wszystkim, co złe, i nakręciłem się tak, że w końcu ryczałem bez opamiętania, z trudem chwytając powietrze między jednym szlochem a drugim. Rozmyślałem o moich pradziadkach umierających z głodu, wyobraziłem sobie, jak ich wyniszczone ciała trafiły do krematorium dlatego, że zupełnie obcy ludzie ich nienawidzili. Myślałem o dzieciach, które mieszkały w tym domu, dopóki nie spłonęły w wybuchu, gdy jakiś obojętny pilot nacisnął guzik, i o dziadku, któremu odebrano rodzinę, przez co w dzieciństwie mój tata czuł się pozbawiony ojca, mnie dręczyły niepokoje i senne koszmary, a teraz utknąłem samotnie w ruinie domu i zalewałem się gorącymi, idiotycznymi łzami. Wszystko dlatego, że siedemdziesięcioletnie cierpienie wniknęło we mnie niczym trujące dziedzictwo, razem z potworami, których nie zdołałem pokonać, bo były już martwe. Nie dało się ich zabić, ukarać ani w żaden sposób osądzić. Dziadek mógł przynajmniej wstąpić do wojska i z nimi walczyć. A co ja mogłem zrobić?

Kiedy mi przeszło, czułem tylko dotkliwe łupanie w głowie. Opuściłem powieki i przycisnąłem do nich kostki palców, żeby choć przez chwilę nie czuć bólu. Gdy w końcu otworzyłem oczy, pokój wydał mi się cudownie odmieniony. Przez okno wpadał do środka jeden jedyny słoneczny promień. Wstałem, podszedłem do pękniętej szyby i przekonałem się, że na zewnątrz jednocześnie pada deszcz i świeci słońce. Byłem świadkiem niewielkiej meteorologicznej anomalii, którą każdy

nazywa inaczej. Moja mama mówi o tym „sieroce lzy” — poważnie. Potem przypomniałem sobie, że zdaniem Ricky’ego w takich chwilach „diabeł leje swoją żonę”. Zarechotałem, a humor trochę mi się poprawił.

Nagle dostrzegłem, że plama szybko zachodzącego za chmurę słońca pada na przedmiot, którego dotąd nie zauważyłem. Spod drugiego łóżka wystawał kufer, czy może raczej jego brzeg. Podszedłem bliżej i uniosłem prześcieradło, które zasłaniało większość tego przedmiotu, a wtedy moim oczom ukazał się wielki, stary kufer podróżny, zamknięty na ogromną, zardzewiałą klódkę. Przyszło mi do głowy, że z pewnością coś w nim jest, inaczej przecież nie byłoby tej klódky. „Otwórz mnie!” — zdawał się krzyczeć. „Skrrywam mnóstwo tajemnic!”

Chwyciłem kufer za boki i pociągnąłem, ale nawet nie drgnął. Kiedy ponownie szarpnąłem, tym razem mocniej, nie przesunął się ani o centymetr. Nie byłem pewien, czy jest aż tak ciężki, czy też przez zebrane latami warstwy kurzu i wilgoci przywarł do podłogi. Wstałem i kilkakrotnie kopnąłem kufer, dzięki czemu się ruszył. Wtedy szarpnąłem raz z jednej, raz z drugiej strony, jakbym przesuwiał kuchenkę albo lodówkę, i całkiem szybko udało mi się wyciągnąć go spod łóżka. Na podłodze zostały wydrapane ślady w kształcie zawiasów. Potrząsnąłem klódką, ale pomimo grubej warstwy rdzy wydawała się mocna jak skała. Przez chwilę kusiło mnie, żeby poszukać klucza. Z pewnością znajdował się gdzieś w pobliżu, jednak nie miałem kilku godzin na zbyciu, poza tym zamek był w tak oplakany stan, że zapewne nie dałoby się przekręcić w nim klucza. Jedyne, co mi pozostało, to wylamać klódkę.

Zacząłem się rozglądać w poszukiwaniu odpowiedniego narzędzia i w innym pokoju mój wzrok padł na połamane krzesło. Wyrwałem z niego nogę, wróciłem i zaatakowałem zamek, unosząc ją nad głową niczym katowski topór. Kilka razy rąbnąłem z całej siły, aż w końcu noga pękła i pozostałem

z roztrzaskanym pieńkiem w dłoni. Musiałem znaleźć coś solidniejszego. Szybko udało mi się wypatrzeć poluzowany pręt z ramy łóżka i wystarczyło parę kopniaków z góry, żeby zagrzechotał na podłodze. Jeden koniec pręta wepchnąłem w kłódkę, za drugi pociągnąłem, ale znów na próżno.

Uwiesilem się na pręcie całym ciężarem ciała. Kufer zatrzeszczał, ale na tym koniec, więc go kopnąłem i z całej siły szarpnąłem za pręt. Naprężyłem się tak mocno, że nabrzmiały mi żyły na szyi.

— Otwieraj się, do jasnej cholery, durna skrzynio! — krzyknąłem.

Wreszcie mogłem wyładować na czymś frustrację i gniew. Skoro nie było szansy na wydobywanie tajemnic od zmarłego dziadka, chciałem przynajmniej poznać sekrety starego kufra. Chwilę później pręt wysliznął mi się z rąk i bez tchu zwałem się na podłogę.

Leżałem, wpatrując się w sufit i z trudem chwytając powietrze. Sieroce lzy ustały i teraz lalo jak z cebra, intensywniej niż kiedykolwiek. Zastanawiałem się, czy nie wrócić do miasteczka po młot kowalski albo pilkę do metalu — ale wzbudziłbym niezdrową ciekawość, a nie miałem ochoty odpowiadać na żadne pytania.

Wreszcie wpadł mi do głowy błyskotliwy pomysł. Gdybym znalazł sposób na rozbicie kufra, nie musiałbym przejmować się kłódką. Co było silniejsze ode mnie i od moich, co tu kryć, niedorozwiniętych mięśni, które żałośnie zmagaly się ze skrzynią, atakując ją przypadkowymi narzędziami?

Sila przyciągania ziemskiego.

Znajdowałem się na pierwszym piętrze domu, i choć w żadnym razie nie zdołałbym unieść kufra i wyrzucić go przez okno, poręcz na szczycie schodów zawałiła się już dawno temu. Wystarczyło przeciągnąć skrzynię przez korytarz i zepchnąć. Inna sprawa, że nie miałem pojęcia, czy i w jakim stopniu zawartość przetrwa upadek, liczyłem jednak na to, że dowiem się przynajmniej, co skrywa kufer.

Przykucnąłem i naparłem na grat, pchając go w kierunku korytarza. Po zaledwie kilku centymetrach stalowa noga kufra zapadła się w miękką podłogę i utkwiała w niej na dobre. Niezrażony obszedłem kufer na drugą stronę, oburącz chwyciłem klódkę i pociągnąłem. Nie posiadałem się ze zdumienia, kiedy przesunął się gładko o metr. Taki sposób pracy nie wyglądał specjalnie elegancko, bo musiałem wielokrotnie przysiąść, napinać się i naprężać, a każdemu przesunięciu mebla towarzyszył rozdzierający zgrzyt metalu o drewno. Jednak w niedługim czasie wyciągnąłem kufer z pokoju i powlokłem go, metr po metrze, obok kolejnych drzwi, prosto ku schodom. Zatraciłem się w rytmicznych, powtarzalnych czynnościach, od których pot zalewał mi oczy.

Wreszcie dobrnąłem do poręczy i nieelegancko posapując, skierowałem kufer nad przepaść. Na klatce schodowej przesunął się całkiem łatwo, więc wystarczyło kilka pchnięć, żeby zachytał się na skraju podestu. Teraz już bez najmniejszego wysiłku mogłem go zrzucić. Chciałem jednak zobaczyć, jak się roztrzaskuje — to miała być nagroda za mój wysiłek — dlatego wstałem i ostrożnie przysunąłem się do krawędzi przepaści, żeby widzieć podłogę w ponurym pomieszczeniu na dole. Potem wstrzymałem oddech i lekko trąciłem kufer stopą.

Zachwiał się przez moment na krawędzi podłogi, a następnie przechylił się naprzód i zanurkował, wykonując w powietrzu piękny obrót, zupełnie jak podczas wspaniałego pokazu baletowego w zwolnionym tempie. Chwilę później rozległ się ogłuszający huk, a ściany budynku aż się zatrzęsły. Z dołu wystrzelił pióropusz pyłu, więc musiałem zakryć twarz i schronić się w głębi korytarza, żeby zaczekać, aż kurz opadnie. Po chwili wróciłem i znowu stanąłem nad krawędzią, jednak zamiast sterty pogruchotanego drewna ujrzałem w podłodze dziurę o kształcie zbliżonym do kufra, który wpadł prosto do piwnicy.

Zbiegłem po schodach i podczołgałem się po

zdeformowanej podłodze do dziury, jakbym chciał dotrzeć na skraj przerębla w cienkim lodzie. Kilka metrów niżej, w półmroku i w kłębach pyłu, zobaczyłem to, co pozostało z kufra. Roztrzaskał się niczym gigantyczne jajo, a jego fragmenty utworzyły jedną stertę z gruzem oraz szczątkami desek podłogowych. W stosie drewna i cegiel dostrzegłem kartki papieru. Wyglądało na to, że jednak znalazłem pudełko z listami! Jednak potem, kiedy zmrzyłem oczy i przyjrzałem się uważniej, zobaczyłem na papierze ludzkie sylwetki, twarze i ciała. Nie były to zatem listy, tylko dziesiątki zdjęć. Ogarnął mnie entuzjazm, który znikł równie szybko, jak się pojawił, bo nagle zmroziła mnie straszna myśl — muszę zejść do piwnicy.



Na podziemną część budynku składał się labirynt pomieszczeń tak mrocznych, że równie dobrze mógłbym się po nich poruszać z opaską na oczach. Ostrożnie zszedłem po trzeszczących schodach i na chwilę zamarłem u ich podnóża. Liczyłem na to, że moje oczy w końcu przywykną do mroku, lecz ciemności były nieprzeniknione, a do tego nie mogłem się oswoić z dziwnym, kwaśnym smrodem, jaki często wydobywa się z szafy z odczynnikami w szkolnej sali chemicznej. Wreszcie dałem za wygraną i ruszyłem naprzód, zasłaniając nos kołnierzem koszuli. Szedłem z rękami wyciągniętymi przed siebie, w nadziei, że dopisze mi szczęście.

Gdy się potknąłem i niemal upadłem, po podłodze potoczył się jakiś szklany przedmiot, a fetor stał się jeszcze bardziej nieznosny. Zacząłem sobie wyobrażać, co skrywa ciemność przede mną. Mniejsza o potwory i duchy, ale co będzie, jeśli natrafię na kolejną dziurę w podłodze? Nikt nigdy nie znajdzie mojego ciała.

W niespecjalnie odkrywczym przebłyску geniuszu uświadomiłem sobie, że telefon może mi posłużyć za słabą latarkę. Co prawda najbliższy maszt przekąźnikowy znajdował się kilkadziesiąt kilometrów stąd, ale wystarczyło przecież wyświetlić

menu. Uniosłem komórkę, kierując ekran w przestrzeń przed sobą. Błada poświata ledwie przenikała mrok, więc wycelowałem w podłogę, ale zobaczyłem tylko popękane kamienie brukowe oraz mysie bobki. Obróciłem wyświetlacz w bok, a wtedy coś błysnęło przy ścianie.

Zrobiłem krok w tamtą stronę i poruszyłem komórką dookoła. W mroku zamajaczyły wypełnione szklanymi słojami półki. Naczynia wszelkich kształtów i rozmiarów pokrywała warstwa kurzu, pod którym dostrzegłem galaretowate rzeczy w mętnym płynie. Pomyślałem o kuchni i roztrzaskanych siłą eksplozji słojach z przetworami, na które się tam natknąłem. Może pod ziemią panowała stabilniejsza temperatura, dzięki czemu zapasy przetrwały w lepszym stanie.

Podszedłem jeszcze bliżej, popatrzyłem uważniej i dotarło do mnie, że to wcale nie są owoce ani warzywa, tylko organy — mózgi, serca, płuca, oczy, zanurzone w domowej roboty formalinie, co tłumaczyło obecność ohydneho smrodu. Z trudem powstrzymując wymioty, z odrazą i zdumieniem cofnąłem się w ciemności. Co to miało być? Takie słoje pasowały do piwnicy w szemranej szkole medycznej, a nie w domu pełnym dzieci. Gdyby nie peany dziadka na temat sierocińca, zastanawiałbym się, czy pani Peregrine nie ratowała dzieci po to, żeby później wycinać im organy.

Kiedy nieco odzyskałem siły, popatrzyłem na poświatę w głębi piwnicy. Tym razem nie było to odbicie światła z ekranu telefonu, lecz rozproszone promienie słoneczne, które musiały wpadać przez wybitą w podłodze dziurę. Ruszyłem w tamtą stronę, nadal oddychając przez materiał koszuli i trzymając się z dala od ścian oraz ewentualnych upiornych niespodzianek.

Po chwili skręciłem za rogiem i wszedłem do małego pomieszczenia z częściowo zarwanym sufitem. Światło dzienne padało wprost na stertę połamanych w drzazgi desek podłogowych oraz pokruszonego szkła, z którego wzbijały się kłęby pyłu. Tu i ówdzie leżały strzępy dywanu, przypominające ochłapy zaschniętego mięsa. Spod rumowiska słychać było

chrobot pazurków, należących zapewne do jakiegoś ceniącego sobie życie w mroku gryzonia, który przetrwał zagładę swojego świata. W samym środku tego spustoszenia leżał zdemolowany kufer, a wokół niego wały się porozsypywane niczym confetti zdjęcia.

Przebrnąłem przez gruzy, ostrożnie omijając ostre jak oszczepy fragmenty drewna oraz deski, z których sterczały zęby rdzewiejących gwoździ. Na kolanach przystąpiłem do odzyskiwania ze sterty wszystkiego, co się da. Czulem się jak ratownik, kiedy podnosiłem zdjęcia i odgarniałem szkło oraz zgnile drewno. I choć powinienem się spieszyć, bo reszta podłogi w każdej chwili mogła runąć mi prosto na głowę, to jednak nie zdołałem się powstrzymać od uważnego oglądania zdjęć.

Na pierwszy rzut oka wyglądały jak typowe fotografie ze starego albumu rodzinnego. Patrzyłem na ujęcia ludzi, którzy bawili się na plażach lub uśmiechali na werandach, i na widoki z różnych okolic wyspy. Było tu sporo zdjęć dzieci, pozujących samotnie i w parach, nieformalne fotki i eleganckie portrety z odpowiednio dobranym tłem. Dzieciaki trzymały w rękach lalki o martwych oczach, zupełnie jakby to były awangardowe fotografie mody w przerażającym centrum handlowym z przełomu wieków. Naprawdę koszmarnie wydało mi się jednak coś innego — nie lalki żywych trupów, nie dziwaczne fryzury ani też fakt, że dzieciaki nigdy, przenigdy się nie uśmiechały. Im dłużej wpatrywałem się w zdjęcia, tym bardziej wydawały mi się znajome. Wszystkie cechowała swoista upiorność, jak stare zdjęcia dziadka, w szczególności te ukryte w pudełku po cygarach. Miałem nieodparte wrażenie, że wszystkie pochodzą z tego samego zbioru.

Tak więc na przykład zwróciłem uwagę na zdjęcie dwóch dziewczyn pozujących przed dość topornie namalowanym tłem, przedstawiającym ocean. Fotografia sama w sobie nie była szczególnie dziwaczna, zaniepokoiło mnie jednak to, jak one pozują — obie stały tyłem do obiektywu. Po co narażać się na kłopot i wydatki związane ze zrobieniem takiego



zdjęcia? W tamtych czasach za portrety trzeba było przecież słono płacić, a te dwie odwróciły się plecami do fotografa. Podświadomie spodziewałem się, że w gruzowisku natrafię na jeszcze jedno ujęcie tych dziewczyn, przodem, z trupimi czaszkami zamiast twarzy.

Inne fotografie wyglądały na podobnie przerobione jak część tych z pudełka po cygarach. Na jednej z nich widniała samotna dziewczynka na cmentarzu, zapatrzona w gładką powierzchnię stawu, w której odbijały się sylwetki dwóch dziewczynek. Od razu przypomniało mi się zdjęcie ze zbiorów dziadka, przedstawiające dziewczynkę „uwięziona” w butelce, tyle tylko, że autor zdjęcia z podwójnym odbiciem zastosował wyjątkowo oczywisty fotomontaż. Na innej fotografii uwieczniono dziwnie spokojnego nastolatka, którego górna część ciała wydawała się oblepiona rojem pszczoł. Chyba nietrudno spreparować taką mistyfikację, z pewnością równie łatwo jak zdjęcie chłopca, który unosi głaz z gipsu. Sztuczna skała, sztuczne pszczoły.

Włosy zjeżyły mi się na karku, gdy przypomniałem sobie, co mój dziadek powiedział kiedyś o chłopcu, którego poznał w sierocińcu. Podobno w chłopaku mieszkały pszczoły. „Część z nich wylatywała, kiedy tylko otworzył usta” — wyjaśnił dziadek. „Ale nigdy nie żądliły, chyba że Hugh tego sobie życzył”.

Przyszło mi do głowy tylko jedno wytłumaczenie. Zdjęcia z kolekcji dziadka pochodziły z kufra, który roztrzaskany leżał teraz przede mną. Nie miałem jednak całkowitej pewności, dopóki nie znalazłem fotografii dziwadła, czyli dwóch zamaskowanych dzieciaków w strojach z krezami. Wyglądali tak, jakby jeden karmił drugiego serpentyną. Nie bardzo wiedziałem, kim właściwie mieli być ci młodzi ludzie — chyba pożywką dla sennych koszmarów, bo przecież nie parą sadomasochistycznych baletnic? Nie wątpiłem jednak, że dziadek zachował zdjęcie tych samych chłopców. Zaledwie kilka miesięcy wcześniej widziałem je w jego pudełku po cygarach.

Nie mogło być mowy o zbiegu okoliczności — fotografie, które pokazał mi dziadek, naprawdę pochodziły z tego domu. Dziadek zaklinał się, że to pamiątki po jego znajomych z sierocińca. Czy to jednak oznaczało, że zdjęcia są oryginalne? Po wątpiewałem w to nawet jako ośmiolatek. I co z fantastycznymi historiami, które im towarzyszyły? Trudno mi było wyobrazić sobie, że choć jedna z nich jest prawdziwa. Teraz jednak, kiedy w półmroku wdychałem kurz w opuszczonym domu, który wydawał się pełen duchów, przyszło mi do głowy, że kto wie...

Nagle gdzieś tam na górze rozległ się donośny huk, a ja podskoczyłem ze strachu, mimowolnie wypuszczając z ręki wszystkie zdjęcia.

„To nic takiego” — powiedziałem sobie. „Pewnie budynek osiada... albo się zapada!” Przykucnąłem, żeby pozbierać fotografie, i wtedy huknęło ponownie. W ułamku sekundy znikło marne światło, które wpadało przez dziurę w suficie, i otoczyły mnie nieprzeniknione ciemności.

Wtedy usłyszałem kroki, a potem głosy. Nadstawiłem uszu, żeby zrozumieć, o czym mowa, lecz nie dotarło do mnie ani słowo. Bałem się poruszyć, bo nawet najmniejsze drgnięcie mogło wywołać hulaśliwą lawinę na zwałisku, które mnie otaczało. Mój lęk był irracjonalny i zdawałem sobie z tego sprawę. Zapewne to debilni raperzy znowu postanowili zabawić się moim kosztem. Mimo to moje serce waliło chyba z tysiąc razy na minutę, a jakiś głęboko zakorzeniony, zwierzęcy instynkt nakazywał mi zachowanie ciszy.

Coraz bardziej drętwiały mi nogi. Najciszej jak umiałem, przenieśliem ciężar ciała z jednej na drugą, żeby wróciło krążenie, ale niechcący czegoś dotknąłem. Ze sterty stoczyło się coś małego, jednak hałas wydawał się ogłuszający. Głosy umilkły, a podłoga zatrzeszczała bezpośrednio nad moją głową i z góry posypało się nieco pyłu gipsowego. Ktokolwiek tam się znajdował, doskonale wiedział, gdzie jestem.

Wstrzymałem oddech.